ROZMAITOŚCI.

Dnia 30 stycznia, N^{er} 5. roku 1847.

KABAŁA.

POWIASTKA.

Ile gwiazd na niebie, tyle rozsiało się dworów i dworków po ziemi naszéj. Na Podolu, Ukrainie, a Polesiu, széroko się rozbiegły; pomiędzy jedną gwiazdą a drugą widzisz wiele pustego pola; ale całą ziemię krakowską zwij mléczną drogą, tak tam gęsty jest zasiew dworków i wiosek, że nie weźmiesz za złe onemu panu pocztmistrzowi w Małagoszczy, który (będzie lat temu 50 z górą) chwycił się szczęśliwéj myśli powiększenia kraju, czego też i dokazał, ze stacyi swojéj dwugodzinnéj zrobiwszy trzechmilową; stosowną także pobierał płatę od panów podróżników.

Atoli gdzie stanęła Zygmuntowa-Wola okoliczne wioski i wójtostwa poodsuwały się od niéj zdaleka; Wola rozpostarta széroko, z jednéj strony potoczyła się ku Wiśle, z drugiéj, oparta o lesiste podgórze, porozrzucała chaty, i rozlała łany swoje. Na wzgórzu śród zwierzyńca dzikich topoli, przysiadł dwór, pod dachem załamanym z włoska, z basztą nad gankiem i z dwoma parami kominów, które jadącemu gościńcem, jak cztéry gościnne gwiazdy, bieliły się zdaleka.

W tym dworze przed 50ciu laty, mieszkał pan S..... szambelan królewskiego dworu, z złotym kluczem, *) który nosił się po francuzku przy mankietach i żabotach; głowę pudrował co rano, do nosa brał tabaczkę, a w ustach przeżuwał francuzkie bonbonki. Byłato szara godzina; pani szambelanowa w swoim alkiérzu na kanapie siedząca, po długiém milczeniu przemówiła do córki:

„Izabelko, psujesz sobie oczy, połóż już te książkę, połóż moje dziecko."

Dziewczyna położyła książkę na stole.

»Usiądź sobie przy mnie moja córko" — rzekła matka do córki; Izabela usiadła przy matce.

„Czyś ty nie słaba Izabelko? głowę masz gorącą" — mówiła matka, kładąc rękę na czole córki.

*) Bywali szambelanowie i bez kluczy.

»Izabelko! co tobie! tyś zapłakana." — dodała szambelanowa dotykając się dłonią twarzy dziewczyny.

Dziewczyna westchnęła.

„Mama wié czego ja płaczę, nie broń mi płakać wtenczas, kiedy łez moich nikt nie widzi."

»Moje oko, przecie je dostrzegło" — pomyślała matka. Wtém z trzaskiem drzwi się otworzyły od sieni, i tupający bucikami wbiegł do alkiérza chłopiec, jeden z najmłodszych szambelaństwa dzieci.

»Czy się już skończyła lekcyja?„ — zapytała matka.

„O, już" — odrzekł malec.

„Gdzie Edwardek!" —

„O, został tam w stancyi u pana dyrektora" — bo u pana dyrektora pali się już świéca; pan dyrektor rozłożył karty, będzie ciągnął kabałę.

„Dobrze żeś mnie przypomniał; idź Nikodemku i proś odemnie pana Matysa, ażeby był tak dobry, i dla mnie także pociągnął kabałę; ciekawam, co też karta powié, kiedy wasz tata powróci do domu?"

„A to pójdę, pójdę i będę prosił pana dyrektora, żeby ciągnął kabałę, kiedy tato powróci?" — I biegł napowrót chłopiec tupając bucikami.

„A ty Izabelko" — mówiła matka do córki, „czyś nie rada zapytać się kabały? — możeby nam powiedziała, kiedy pan Roman do nas znowu zawita; już tu dawno nie był."

»Och, dawno, bardzo dawno, jak nie był u nas!" — westchnęła dziewczyna.

„Idź moje dziecko do pana Matysa, proś go, może i tobie co dobrego wywróży — jaką radość w przyszłości."

„Radość w przyszłości.....?" — Rozczuliło się dziewczę. — „Nie mnie ta radość! Tato zaprzysiągł się, że póki żyje, pan Roman, nie postanie w domu naszym; ja go może już nigdy nie obaczę."

I drobnémi rączkami zakryła twarz, i płakała łzą cichą dziewczyna.

Matka patrząc na płaczącą, miała także łzę w oku.

»Pójdź moje dziecię" — wezwała ją powtórnie,

ażeby poszła do pana Matysa probować szczęścia w kabale. Izabela powolnym krokiem wyszła z pokoju.

Na drugiéj stronie dworu, za sienią, była sala; długi pokój ubrany w portrety antenatów w pancerzach i fryzurach; stół na ośmiu nogach stał sobie na środku izby; w jednym rogu był zegar w skrzyni, gdyby w stojącéj trumnie schowany, z swoją twarzą, cyferblatem; w drugiéj szafa kredensowa; jéj korona na kręconych słupach wzniesiona, sięgała powały. Od sali jadalnéj, dwoje drzwi wiodło do dwóch pokoi; z tych jeden był kancelaryją pana szambelana, stancyja druga pomieszkaniem pana dyrektora.

Stancyja ta przed laty była wapnem bielona, dwoma oknami patrzyła na kuchnią; w swojéj przestrzeni mieściła łóżko żelazne, szafę, na któréj półkach książki różnéj miary i oprawy, bądź stały w prostym szeregu, bądź nachylone, opiérały się na braciach swoich leżących; niższe przerwy pełne były różnokolorowych kamieni i kruśców; najniższa, była magazynem butów; z tych jeden, nadziany nogą drewnianą, prawidłem nazwaną. Między oknami miał swoje miejsce stół przeznaczony do pisania, wyścielony arkuszami bibuły, czarnémi od plam inkaustowych; tam był kałamarz z swoją siostrą, piaseczniczką, nożyce i temperalik; pióra i papiéry, Donata elementarz, którego kartki kręciły się jak suche strączki grochu, a przez rozdartą kompaturkę mogłeś odczytać ten wierszyk o Rószczce, którą duch ś. dziateczki bić radzi; obok brusika dla ostrzenia scyzoryka, leżała dyscyplina, co zaostrza ochotę do nauki; obok klepsydry, książka łacińska w Węgrzech drukowana *Officium-rakocianum*. Na ścianie wisiały rozpostarte mapy, *Regnum Poloniae* a druga *Regnum Hungariae* wyobrażająca; zaś nad kapą komina obraz, złożony z motyli i świécących robaczków, naszpikowanych na szpilki. Byłato stancyja pana dyrektora, a nim był pan Matys, Podolinensis *bacalaureatus magister*, średniego wieku mężczyzna, twarzy ospowatéj, pełno nalanéj; jego oczy brwią nawisłą zacienione, świéciły się jakby dwa małe niebieskie śkiełka; połyskiem swoim ożywiały nieco zimną, poważną, ponuro na świat patrzącą twarz pana dyrektora.

W chwili kiedy Izabela, idąc za wolą matki, może i za natchnieniem własném, wstąpiła do izby pana dyrektora, ten siedział przed stołem, przed nim rozłożone karty, on nad niémi zamyślony, zadumany.

„*Sic est*, karta przepowiada” — ozwał się do uczniów swoich.

„*Sic est; spectabilis Dominus noster* jaśnie w. pan szambelan dzisiaj jeszcze, tego wieczora z swojéj podróży powróci do domu; kabała tak przepowiada.”

Chłopaki na posłyszane te słowa biegły z radosnym wrzaskiem do matki, Izabela została, lękliwym głosem przedłożyła swoję prośbę, któréj powolny pan magister, rozłożone karty do kupy zgarnął, zatasował; pannie szambelanównie zebrać kazał, i nową kabałę dla niéj ciągnąć zaczął.

Nie upłynęła godzina, kiedy zaturkotał podworzec, i pojazd jakiś zatoczył się przed ganek; ktoś przyjechał do domu.

Byłto pan szambelan, który z długiéj podróży teraz do swojego powrócił domu.

—„Co widzę? tu się coś święci” — ozwał się do lokaja, faworyta, obaczywszy okna od sali i bawialnego pokoju rzęsisto oświetlone.

—„Jak *remarkuję*, pani szambelanowa, moja żona, nie nudzi się wcale, — i kiedy ja jeżdżę za interesami, pani szambelanowa gości sobie sprasza, baliki daje, depansuje; tegom się nie spodziéwał, a na honor, nie spodziewałem się tego.”

Szambelan w cierpki wprawiony humor, wysiadł z pojazdu, a jemu na przeciw biegły już chłopaki; w progu stanęła jego żona z córką i pan dyrektor, a za niémi lokaje i panny służebne. Chłopaki czepiały się ręki ojca, z któréj służący ściągał rękaw obszernéj delii.

„Czy zdrową zastaję aśkę dobrodziéjkę?” — zapytał szambelam.

„Dziękować Bogu zdrowi jesteśmy.”

„Widzę to, widzę, zdrowi i weseli; w moim domu, jak uważam, dzisiaj *noble-assamble;* pokoje oświetlone, kogoż to mam honor witać? kogo?”—

„Mylisz się mój mężu — nikogo obcego niéma w naszym domu” — odpowiedziała żona.

„A proszę! pokoje ślicznie wykadzone bursztynem!” — mówił szambelan wchodząc do pokojów — „czy już odjechali goście?„—

—„Jako żywo, od czasu odjazdu jegomości nikt nie był u nas.”

„Taką razą, *madame* mocniéj się dziwię i zastanawiam, i nie mogę wyimaginować sobie, dla jakiéj racyi aśka dobrodziéjka wprowadzasz taki *luxus* do naszego domu; iluminować pokoje! kadzić bursztynem, kiedy nikogo obcego niéma! to jest niesłychany zbytek! A, *madame!* i kiedy ja się męczę, trapię, jeżdżę za interesami, chcąc przysporzyć majątku dla dzieci, pani szambelanowa tymczasem roztrwania go w domu, a piękneż to tak? godziż się to tak?”

Kiedy pan szambelan nagadał się do woli i nazrzędził; dozwolił w końcu żonie dojść do słowa, a teraz z większém jeszcze zadziwieniem dowiedział się, że pokoje dzisiaj tylko, i to *in gratiam* jego przyjazdu, zostały oświetlone i wykadzone.

»*In gratiam* mego przyjazdu?« wpadł w słowo szambelan.

»A pytam się pani szambelanowej, zkąd mogła mieć tę pewność, że ja dzisiaj do domu powrócę, he? To jest rzecz dla mnie niepojęta, czyliż nie pisałem w ostatnim liście, wyraźnie do zrozumienia nie napisałem, ażeby się madame mnie nie spodziéwała piérwéj, jak za dwa tygodnie; proszę mnie powiedzieć, czy ja tego nie pisałem?«

„Jegomość ma racyję, nie obiecywałeś się nam tak prędko« — odrzekła żona.

»*Eh-bien*, jakże?«

„Ale bo jegomość tak zwykle niespodziewanie przyjeżdża, i ja zawsze czegoś się innego spodziéwam, jak tego, co w korespondencyi wyczytam....«

„Tak się zdarza czasem: to są moje interesa... do których akomodować się muszę, i od nich dependuję; ale że dzisiaj aśka dobrodziéjka tak na pewno na mój przyjazd liczyłaś, to mnie z głowy wyjść nie może, to jest okoliczność — nie do pojęcia dla mnie, na honor nie do pojęcia.«

Przynaglona pytaniami, przyznała się wkońcu żona, że pan Matys z kart przepowiedział dzisiejszy przyjazd szambelana do domu, a ona wierząc kabale, kazała na przyjazd męża pokoje oświetlić i wykadzić.

„Co, co słyszę?« — zawołał mocno zadziwiony szambelan. „*Vous badinez Madame*, to być nie może, i nigdy temu nie uwierzę, bo teraz przecież cuda się nie dzieją, trzeba na to czarownika, żeby wiedział to, co nikt w świecie wiedzieć nie mógł«

»Asekuruję moim honorem, że nikt w świecie.«

Zapewniony od małżonki, że tak stało się w istocie; szambelan zmieszał się niepomału; widać było, że go coś niepokoiło i turbowało; udał się do swojéj kancelaryi; słyszano, jak chodził po izbie i do późnéj godziny medytował.

Szambelan tą kabały przepowiednią był żywo dotknięty; trzeba bowiem wiedzieć, że dziedzic Z y g m u n t o w s k i é j - w o l i, ważniejsze czynności, a mianowicie podróże swoje częste, lubił okrywać w jakąś mgłę tajemniczą, za którą jakby za kortyną chował swoje zamiary, przestrzegając, ażeby żadna ręka obca tę zasłonkę odchylić, niczyje oko sekretu jego przeniknąć nie mogło. Skutkiem takiegoto w tajemnicach upodobania, bywało, że kiedy wybiérał się w drogę choćby i najdalszą, o tym zamiarze jego, nikt, nawet własna jego niewiedziała żona, i nie piérwéj aż w wiliją wyjazdu swojego, wydawał potrzebne do drogi dyspozycyje, i to późnym wieczorem; wyjeżdżał bardzo rano, żegnając się z żoną — jedno zawsze powtarzał. — »Interesa moje naglą mnie; jechać muszę, wrócę za tydzień, może i dłużéj zabawię, wedle okoliczności; jak interesa pozwolą?« — Lokaj ani furman nie wiedzieli, gdzie i w którą stronę jadą; i dopiéro na rozstajnéj drodze, woźnica odbiérał rozkaz: „jedź na prawo, jedź na lewo« co za każdym razem szambelan powtarzał, kiedy gościniec dzieląc się na dwie drogi, w nową niepewność wprowadzał furmana.

Pojmie więc każdy i uwierzy temu, że szambelan wielce był zdziwiony tą pana Matysa przepowiednią o jego powrocie; wypadek takowy mógł poddać mu materyję do długich medytacyj w nocy.

Ledwie co zaświtało, już w pokoju szambelana dało się słyszéć dzwonienie; lokaj wstępując do pokoju, odebrał rozkaz pójść do pana dyrektora i powiedzieć mu, ażeby w gabinecie pańskim osobiście natychmiast się stawił. Wrócił wysłany z tą odpowiedzią: że pan dyrektor przeprasza, iż w téj chwili przybyć nie może.

„Jakto! co to nie może? dla czego? dla jakiéj racyi?« — zapytał szambelan w gniew wpadając.

„Pan dyrektor, kazał oświadczyć« — mówił sługa — »że w téj chwili nie może, bo teraz pacierze swoje odmawia.«

»Pacierze odmawia« — powtórzył szambelan upokorzony. — »To co innego; idź do pana dyrektora i powiedz, ażeby po pacierzach pofatygował się do mnie, powiedz, że go proszę na moment do siebie.«

Długiém czekaniem na przybycie dyrektora zniecierpliwiony szambelan, posłał trzeciego posłańca; nareszcie przyszedł pan dyrektor, a szambelan wręcz go zagabał i żądał objaśnienia: jakim sposobem przepowiedział dzień jego powrotu do domu, jak mógł wiedzieć to, co żaden człowiek wiedzieć nie mógł. Gdy pan Matys, na żądane pytanie nie pospieszał z odpowiedzią, szambelan uniesiony pasyją krzyknął:

—„A cóż to się dzieje mosanie! ja waści płacę za to, ażebyś dzieci uczył elementarza, a waść wtrącasz nosa tam, gdzie jego nie potrzeba — waść mi coś zakrawasz na czarodziejnika, albo co gorsza, na szpiega, a na honor mosanie dyrektorze...«

— I coraz większym unoszony gniewem szambelan coraz głośniéj mówił, bliżéj przystępował do dyrektora, który w tył się cofając, na impetyczny głos szambelana — odezwał się wreszcie spokojnym i powolnym głosem.

»*Spectabilis domine*! Historyja, *id est* kronika Sarmatów przywodzi nam *exemplum* — *sic est* przykład niesprawiedliwości sądów ludzkich; kiedy wydarzyło się, że, *sic est*, ślusarz zawinił a powieszono kowala.«

»Cóż to wasze gadasz?« — zapytał zdziwiony i z toru zbity szambelan.

„*Ecce* — gadam, że tym kowalem niewinnym, który za cudze pokutował — jestem ja *humillimus servus, spectabilis domine*.«

Szambelan nie pojął do razu téj allegoryi z kroniki Sarmatów zacytowanéj. Pan magister ją tłumacząc wyłuszczył, iż nie była to przepowiednia

jego, ale kabały, która obwieściła powrót jw. szambelana do domu, dnia wczorajszego.

„Jeżeli tedy w téj” — konkludował pan magister — »konkurencyi wypadków zachodzi czyja wina, ja umywam ręce, — i za kartę odpowiadać nie mogę.”

Szambelan nie wiedział co odpowiedzieć na taki walny argument; pomyśliwszy chwilę, oświadczył, że życzy sobie obejrzéć te kabalistyczne karty pana magistra.

„*Fiat voluntas tua spectabilis domine*” — rzekł magister, wychodząc z gabinetu. Wróciwszy po chwili, oddał szambelanowi taliję kart częstém kabałowaniem dobrze już zbrukanych.

Szambelan obejrzawszy karty, oddał je napowrót magistrowi.

„Proszę asana” — odezwał się do magistra — „proszę, rozłóż twoje karty i ciągnij kabałę teraz dla mnie; a co mnie wywróży, powiész mi szczérze i otwarcie, o to go proszę.”

»*Rogo humillime*, ażebym mógł być uwolnion od tego” — rzekł magister.

»Jakto? z jakiéj racyi?” — zapytał szambelan.

Magister powtórzył swoję prośbę.

»Nie, przysięgam Bogu” — krzyknął i tupnął nogą szambelan „tak chcę — i rozkazuję, *excepcyi* żadnéj nie słucham, zapowiadam, że nawet — i przymuszę, przysięgam Bogu, przymuszę!”

„*Spectabilis domine!*”—rzekł niezalękniony magister.— »*Suplico, rogo*, proszę posłuchać, co przedstawię.”

»Słucham waści.”

»Kabała, *id est* sztuka kabalistyczna, która ażeby tędy ciemną przyszłości i oponę odchylić mogła; natędy — *spectabilis domine* potrzeba jéj cienia nocy; kabała odbywa się przy świécach.”

»Kiedy tak, to poradzimy temu.” — Szambelan zapuścił firanki u okien, rozkazał służącemu zamknąć okienice; co gdy się stało, zrobiło się w pokoju ciemno, a kiedy i zapalona świéca stanęła na stole, szambelan wezwał magistra ażeby swoje robił.

Magister nie o p u g n o w a ł już dłużéj, zasiadł na krześle i zaczął rozkładać na stole karty, jednę po drugiéj, nad każdą dumał długo i rozmyśliwał. Szambelan stał nad nim, nie mówiąc słowa, przypatrywał się téj mistycznéj robocie. Wielka cisza towarzyszyła téj scenie.

»*Sic est*, dwie karty, padły między królem a tuzem.”

»Cóż one znaczą?” — zapytał szambelan ciekawie.

»*Rogo, suplico*, proszę własném okiem się przekonać: — między królem a tuzem, leżą dwie karty!”

„Cóż one znaczą?” — zapytał znowu szambelan.

„Już wiém” — odpowiedział magister poważnie.

»Cóż znaczą? — Proszę powiedzieć.”

»Tak jest, nie inaczéj” — odrzekł magister uroczystym głosem.

»Ale przysięgam Bogu, nie wytrzymam mości dyrektorze.„

„Gdyby to był k r ó l ż o ł ę d n y” — magister zaczął medytować „bo k r ó l ż o ł ę d n y — gdy padnie obok tuza innéj maści, to co innego, ale k r ó l d z w o n k o w y oznacza senatora, orderowego pana?”

„Za pozwoleniem; czy karta uważa kluczyk złoty zarówno z orderem.”

»*Aequalitas*, równość zupełna — *spectabilis domine.*”

»Teraz pojąłem, a ten t u z? a te dwie karty? cóż one znaczą?”

»Już wiem” — odrzekł magister.

„Cóż takiego? cóż takiego?” — pytał szambelan.

»*Rogo, suplico* przekonać się własném okiem, że to t u z c z e r w i e n n y a nie w i n n y! broń Boże!”

„To widzę, to widzę.”

„A zatém” —

»Cóż zatém?” — rzucił pytanie szambelan drżący z niecierpliwości. Ale magister z czołem nachylonem zamyślony dumał niby Twardowski nad wielką księgą; wpatrywał się w karty, sylabizował je, jakby te karty były literami jakiegoś sanskryckiego alfabetu. — W tém nagle podniósł głowę, podniósł rękę — podniósł głos — i rzekł:

»*Spectabilis domine* — karta mówi” —

Szambelan zadrżał z niecierpliwości.

„Karta przepowiada *tibi spectabili domino*, wielki honor, *id est*, *splendor* domowi twojemu.”

„Na Boga powiedz? co mi obiecuje karta! tytuł barona może! za którym od dwóch lat się ubiegam, staram się, jeżdżę, piszę, d e p a n s u j ę.”

»*Spectabili domino*” — mówił daléj wieszcz, »karta przepowiada wielki honor, *id est*, prześwietny tytuł b a r o n a I m p e r i i”

„Tytuł barona Imperii” — powtórzył szambelan zachwycony. „Ja będę mianowany baronem Imperii! I osiągnę nareszcie to, com sobie zamierzył, czego jak zbawienia sobie życzę i tak gorąco pragnę — Na honor, przysięgam Bogu kochany panie magistrze, moja wdzięczność — nagroda — będę spaniałomyślnym, po baronowsku ci wynagrodzę. — Baron Imperii — jestże kto szczęśliwszym ode mnie pod słońcem!” — zawołał uniesiony szambelan.

„*Spectabilis domine*” — przerwał to uniesienie magister, „teraz proszę dać pozór — zwracam uwagę, bo *ecce* między k r ó l e m ż o ł ę d n y m a t u z e m c z e r w i e n n y m, który honor oznacza, dwie karty padły — *suplico, rogo*, własném okiem...”

„Cóż one znaczą te dwie karty?”

»Już wiém” — pomruczał magister.

„Więc proszę mnie powiedzieć, domyślam się, że to będą jakieś przeszkody do przebycia, trudności do zwalczenia, a na honor, — że ta droga do honorów taka długa, taka trudna, taka kosztowna nawet!”

„Proszę, *suplico* własném okiem się przekonać — dwie karty, dwie kralki, winna i czerwienna."

„Cóż one znaczą? jestem ciekawy, a nawet potrzeba mnie to wiedzieć, ażebym stosownie do tego, wiedział gdzie, w którą stronę uderzyć, — ha, może jeszcze poforsować? co? postarać się o jakie plecy? — co? he? —" pytał szambelan wpatrzywszy się w twarz magistra — która zawieszona nad kartami milczała.

„Nie! — *impossibile!*" ozwał się w końcu kabalista, i zagarnął karty do kupy.

"Jakto? co to? czy już skończona kabała?",

„*Sic est*, skończona" — odparł smutno magister.

"Ależ — za pozwoleniem — nie wiem jeszcze znaczenia tych dwóch winnych kralek; a właśnie o co najwięcej mi chodzi"

»*Suplico*, *rogo*, proszę uwolnić mnie, od dalszego tłumaczenia."—

»Jakto? dla czego! dla jakiéj racyi?"

„*Spectabilis domine*, mam w tém moją racyję i bardzo ważną."

»A ja właśnie mam racyję dowiedzieć się, co one mi wywróżyły, te dwie kralki; proszę mi powiedzieć i to natychmiast" i wpadając w gniew szambelan tupnął nogą w podłogę, aż szyby zabrzękły.

„*Spectabilis domine*, *impossibile*, powiedzieć nie mogę."

»Ha obaczemy" — rzekł szambelan unoszący się złością, „zobaczemy — ja aspana każę zamknąć."

Magister się skłonił pokornie.

„Każę zamknąć do lamusu, przysięgam Bogu, że to zrobię; nie dam jeść ani pić — i to dopóty, dopóki mi waszę nie wyspowiadasz się ze wszystkiego, przysięgam Bogu, że to zrobię, przysięgam Bogu, że to zrobię, zamknę, będziesz o głodzie, choćby tydzień, miesiąc cały, dopóki sam mnie będziesz prosił — ha, obaczemy mospanie — kto kogo przetrzyma! gdzież waszę idziesz?"

Magister się skłonił i rzekł:

„*Spectabilis domine* — idę do mojego aresztu."

»A do tysiąca piorunów, asan myślisz, że to żarty. Hej, Janie — Wojtku! tego jegomości bierzcie, zaprowadźcie do lamusa — zamknąć go na klucz; jak mówiłem, tak zrobię przysięgam Bogu! Hej Janie, hej Wojtku" — wołał coraz głośniéj rozindyczony pan. »Czegoż stoicie? prowadzić go do lamusu, marsz!" wrzasnął i tupnął nogą szambelan — a Jan i Wojtek przyskoczyli.

Pan magister w téj krytycznéj chwili, nie stracił swojéj powagi, ani spokojności umysłu, wychodząc z alkierza z czołem nieugiętém; po drodze wstąpił do swojego pokoju, zabawiwszy tam przez chwilę, wyszedł z książką pod pachą i krokiem powolnym, niemal uroczystym, szedł sobie ścieżką, która od dworu prowadziła do lamusu. — Straż złożona z Jana i Wojtka z odkrytą głową nieśmiało zdaleka szła za nim. Drżącą ręką otwierała drzwi żelazne i wprowadziła pana magistra do więzienia, pomiędzy faski z mąki, suchedniówki z solą, pod nizkie sklepienie, u którego wisiały girlandy cebuli— połcie słonin, obok futer całéj familii szambelana, śród lata tam chowanych. Atoli nie było bez tego, ażeby to uwięzienie magistra nie zrobiło na całym dworze wielkiego wrażenia i rumoru. — Szambelanowa, jéj córka i fraucymer cały wyglądający z okna domu, ocierały sobie łzy litości Służba męzka zaczęła gwarzyć a nawet szemrać. Wszystkie serca chwyciły się strony prześladowanego. Słowem uformowała się na dworze szambelana partyja przeciwna, która zaczęła się odzywać wyraźną opozycyją ordynansom pańskim. Szambelan gdziekolwiek spojrzał, spotykał wszędzie smutne twarze, wszędzie zły humor, nieukontentowanie; opuszczony od wszystkich, po swojéj stronie nie miał nikogo prócz synków, dwoch pustaków, teraz wesołych nadzieją długiéj rekreacyi, i używających zupełnéj wolności biegania, skakania i spinania się po drzewach i drabinach. Szambelan pomimo tego, że teraz sam wołać, napominać i łajać musiał swawolników; po niedługiéj chwili, zaczął doznawać jakiegoś przykrego uczucia, podobnego temu, jakiego doznaje człowiek dźwigający krzywdę bliźniego na swojém sumieniu. Ale punkt honoru i powaga niedozwalała mu ustąpić w tym wypadku; a będąc pewnym, że magister przyjdzie do refleksyi, i ugnie się w swoim uporze, zwłaszcza gdy mu głód dokuczać zacznie, wzmocnił się w przedsięwzięciu swojém, i postanowił głodem go morzyć dopóty, aż ulegnie.

Nadaremne były instancyje żony, prożby córki, pokorne przedstawienia domowych, nie skutkowała nawet refleksyja księdza proboszcza, który w tym celu oddał swoję wizytę we dworze, i za magistrem nader wymownie przemówił.

Więzień siedział zamknięty w lamusie dzień już drugi, bez jadła i picia, a zapytywany kilkokrotnie, czy uczyni zadosyć woli pana szambelana, odpowiadał *negative*; czém do największéj niecierpliwości przyprowadził szambelana, a dwór jego do coraz głośniejszego szemrania i wyraźnego cenzorowania tak okrutnego i niesprawiedliwego pana

Spłynęła noc jedna znowu, był to dzień trzeci uwięzienia pana Matysa, dzień niedzielny. Więcéj zamyślony niż kiedy, chodził szambelan po swoim pokoju, w ręku trzymając tabakierkę, co chwila ją roztwierał, brał po szczypcie tabaki, przykładał do nosa machinalnie, oprószając tabaką żabotki i westkę. Patrząc przez okno na podwórze, kogo tylko postrzegł, kogo obaczył, każdy czysto i ochędożnie przybrany, przypominał mu niedzielę. Wnet odezwały się kościelne dzwony, i widać było ludzi wszystkiemi ścieżkami ciągnących na nabożeństwo, do kościoła.

Wtém otworzyły się z trzaskiem podwoje. Z hałasem wpadło do pokoju dwóch synków z zapytaniem do ojca: — »A z kim my tatuniu pójdziemy do kościoła, kiedy pan dyrektor w kozie siedzi? To my do kościoła nie pójdziemy, nieprawdą tatuniu?» — To zagadnienie dzieci, dotknęło do żywego pana szambelana, i zdecydowało zupełnie.

„Nie; dla własnéj sprawy nie mogę żądać, ażeby ktoś drugi gubił swoję duszę i nie słuchał mszy świętéj w niedzielę" pomyślał sobie, czując przytém jakąś kompasyję nad nieborakiem zamkniętym w areszcie dzień już trzeci, bez jadła i napoju. „Na honor" — mówił do siebie „nie wiedziałem żeby magister był charakteru tak nieugiętego; na honor skorumpował mnie tym razem, tym jednym razem ustąpię; dobrocią moją ujmę go zapewne, tak, nie wątpię o tém.".

W skutku téj deliberacyi z sobą; wziął klucze, lamus otworzył, i więźnia swojego wypuścił na wolność. A pan Matys z uczniami swoimi, pokazał się na nabożeństwie w kościele, gdzie go witano radosnémi twarzami. Szambelan nie zaczynał z nim rozmowy; dopiéro gdy nastał wieczór, zaprosił go do siebie. — Przez chwilę było milczenie; wreszcie szambelan zaczął témi słowy:

—„Ustąpiłem wbrew mojemu zwyczajowi, i spodziéwam się, że ten krok mój spaniałomyślny, nie będzie zapoznany; wszakże, kiedy mogłem przez dni trzy i tyleż nocy trzymać asana w areszcie bez jadła i picia, mógłbym trzymać miesiąc, rok cały, dopóki by mnie się podobało, a spodziéwam się, że tego prawa nikt mi nie zaprzeczy?" — Pan Matys pokłonił się nizko.

—„Wezwałem asana do mojego pokoju" — mówił daléj szambelan »bo mniemam że będąc sam dyrektorem i konduktorem młodzi do cnoty, uległości i uszanowania woli przełożonych; złym przykładem nie zechcesz to niweczyć, co nauką budujesz. Jakże? pytam się waści po raz ostatni: czy uczynisz woli mojéj zadosyć? i objaśnisz mnie, jakie miały znaczenie te dwie karty, te dwie kralki, co padły między mną a przyszłém baronostwem mojém; panie Matys, powiém waści, iż mu wielce będę obligowany, assekuruję moim honorem, że się potrafię nawet odwdzięczyć za to..."

»*Spectabilis domine*" — zaczął mówić magister; »kiedy jest taka nieodmienna wola, *sit voluntas tua*, powiem, ale piérwéj. .."

»Cóż piérwéj ?»

„Muszę..."

»Cóż? cóż takiego?"

«Umyć moje ręce, bo winy w tém mojéj nié ma; *spectabilis domine*, to nie ja mówię, ale karta gada. — Te dwie kralki, co stoją między tobą *spectabilis domine* a honorem przepowiadają...»

»Cóż takiego ?"

„Że *spectabilis dominus* nie osiągnie wprzód tytułu barona Imperii, aż dwa razy, *sic est*, razy dwa krzywoprzysięże, *alias* złamie dwie przysięgi, i to jednę po drugiéj!"

Szambelan osłupiał; krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło, dziwnie pomieszany i zawstydzon, spuścił w ziemię oczy, chciał się zabrać do mowy, ale gdzie utkwić jéj wątek, nie wiedząc, szamotał się tylko próżném jąkaniem.

„*Spectabilis dominus*" — mówił daléj pan Matys „złamałeś już jednę przysięgę?"

„Co, kiedy? jaką? Bóg świadkiem nic nie wiém."

»*Spectabilis dominus* przysiągł Bogu, że mnie sługę swojego dopóty głodem morzyć będzie i trzymać w lamusie, dopóki sam o wolność nie poproszę. Teraz *rogo, suplico,* proszę się przekonać, czy ja prosiłem o to? Jedna przysięga się złamała."

„Szambelan odetchnął wolniéj nieco" — po chwili ozwał się głosem nieśmiałym. »Tak jest, masz waść racyje, złamałem przysięgę, to jedna, ale gdzie będzie ta druga? ta druga więcéj mnie dręczy, i obawiam się, bo to, na honor, rzecz nie mała, kara boska, potępienie, a tu dyzhonor, profanacyja, a nawet i czego gorszego doczekać się można!"

»*Spectabilis domine*!"

„Słucham waści."

„Obawiam się, drżącém sercem czekać będę na spełnienie téj przepowiedni; *spectabilis dominus* złamie i drugą przysięgę, i wtenczas dopiéro to, czego pragnie, osiągnie; *id est*, tytuł Barona Imperii — taka jest przepowiednia kabały; mamyż jéj nie wierzyć *spectabilis domine*? a któż to przepowiedział, że *spectabilis dominus*, tego a tego dnia, téj a téj godziny wróci do domu? któż przeniknął, *spectabilis domine* te twoje starania i zabiegi około baronostwa? któż *tandem* zgadł i to; że tytuł ten świetny, uilluminuje okazałe *sidus* domu tego, któż pytał się, jeżeli nie kabała? *concludo ergo*, że tak się stanie! Jedno złamane *juramentum* już mamy. *Spectabilis domine*, teraz nam postarać się o drugie, *notabene* o takie, coby nie obciążało bardzo *conscientiam tuam*, *spectabilis domine*, to jest, sumienie, i miasto złe, dobre skutki przyniosło, *non maerorem*, nie smutek, *sed gaudium*, ale wesele sprawiło bliźniemu."

»Tak, zapewnie" — ozwał się szambelan, »nikt to nie mógł wiedzieć, zachowywałem największę tajemnicę, ta waścina kabała wszystko przepowiada, zgaduje, trudno nie dać wiary, ale ta druga przysięga, takim strachem mnie przejmuje, na mój honor, pojąć nie mogę, jakby to być mogło, jakby się to pogodzić dało, złamanie przysięgi z radością czyją?"

»*Spectabilis domine*, już wiém." Zawołał magister okazując uradowanie.

»Cóż! cóż takiego? na Boga! magistrze ulituj się, przyjdź mi w pomoc, powiedz, przysięgam Bogu, że cokolwiek mi poradzisz, to zrobię najchętniej, byle tylko było złamanie przysięgi bez wielkiego grzechu i połączone z radością czyją«

Spectabilis domine, suplico humillime, ecce sama się nastręcza okazyja złamania przysięgi; śliczna, przewyborna okazyja, nie zrobi się żadne *malum imo bonum*; smutku nie będzie, *Deus avertat*, ale radość.«

»Jakto? co waść mówisz?« — zadziwił się szambelan.

»*Spectabilis domine, rogo, suplico* uważyć tę okoliczność: tytuł barona Imperii spadkiem dziedzictwa, spłynie na dorastających synów. *Splendor* imienia wymagać będzie dochodów, coby odpowiadały tej nowej godności. *Spectabilis domine, rogo humillime* poddać tę materyję pod słuszną reflexyję, tak jest., panna Izabela kochanym braciszkom musi coś sakryfikować ze swojej *sperandy* majątkowej, *subinteligitur* po jak (daj Boże) najdłuższém życiu pana barona Imperii.«

»A tak, dobrze asan mówisz« — ozwał się szambelan, »mówisz słusznie, na honor arcysłusznie, nowy tytuł, co spadnie na moich synów, wymagać będzie... a tak, aktualnie, rzecz godna uwagi, pomyślę nad tém, ale odbieglismy od naszej materyi, jeźli się nie mylę, wspomniałeś panie magistrze, że się nastręcza jakaś okazyja złamania przysięgi« dodał szambelan cichym głosem.

»*Sic est*, przypominam sobie« — mówił magister tak daléj: »Pewnego razu, uniesiony gniewem *spectabilis dominus* z a p r z y s i ą g ł, że — pewien kawaler a s p i r u j ą c y o rękę panny Izabeli, póki życia, nie postanie w domu jego.«

»No, alboż to ma co do tego?« — zapytał szambelan nieco opryskliwie »proszę kończyć.«

»Już skończyłem, *dixi, spectabilis dominus* jak skoro sam zaprosi pana Romana do swoich progów, druga przysięga będzie złamana, i assekuruję, że smutku nie będzie, ale wesele.«

»Hola, co słyszę! Waść mi się poważył wyjechać z takiémi propozycyjami« — ofuknął się szambelan, »konsylijarza nie potrzebuję«, krzyknął zagniewany pan, i tupnął nogą. Pan magister pokłoniwszy się nizko, wyszedł z pokoju w pokorze.

Niewiadomo jakie to były medytacyje, które pan szambelan odbywał ze sobą po oddaleniu się pana Matysa; ale zapewnić możemy, że długo w noc trwały, i miały ten r e z u l t a t, że w kilka dni po tych scenach wyżéj opisanych, pewnego poobiedna, na walnym koniku pojawił się przed gankiem dworu w Zygmuntowskiéj-woli, młody i dorodny panicz w niebieskim kontusiku przy rzęsistym pasie; z dźwięcznym pobrzękiem szabli wstąpił do pokojów. Szambelan powitał go wymownym komplementem, a panna Izabela radością i rumieńcem, który zapłonął na jéj twarzy.

W niedługim czasie, rozbiegły się po sąsiadach listy w stylu staropolsko-dyplomatycznym pisane, w których przy udzielonéj nowinie i przyszłém postanowieniu córki, była i prożba o asystowanie solennemu a k t o w i zaręczyn panny Izabeli z panem Romanem; po którym akcie, nastąpił drugi solenniejszy jeszcze akt ślubu nowożeńców.

Szambelan od dnia tego, w którym pan Matys wy-e k s p l i k o w a ł mu słowa kabały, niecierpliwym ale i spokojnym umysłem wyglądał spełnienia przepowiedni; ale tym razem nie dopisała kabała.— Szambelan zakończył życie, nie doczekawszy się baronowskiéj korony.

A. G.

Wiadomości literackie.

Z e L w o w a: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* (Własność i nakład P i o t r a P i l l e r a) wyszedł nr. 4ty i zawiéra: 1) O przechowywaniu zboża w ziemi. 2) Słówko Józefa Żywickiego o nowym pospiesznym metodzie rafinowania surowcu cukrowego. (Dokończenie.) 3) Rolnictwo intenzywne i extenzywne. 4) Rzecz krótka o gospodarstwie krajowém. Podług M'Cullocha. (Dokończenie.) 5) Spis pp szanownych prenumeratorów. (Ciąg dalszy.) 6) Towarzystwo dla wsparcia industryi i rękodzieł. 7) Kartofle holsztyńskie. 8) Cegiełkowata herbata. 9) Skopce do dojenia. 10) Słód na angielskie piwo. 11) Przegląd kuli ziemskiéj. 12) Wiadomości handlowe i przemysłowe. 13) Uwiadomienia potoczne.

Dziennika mód paryzkich pod redakcyją T o m a s z a K u l c z y c k i e g o, wyszedł nr. 4ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Słów kilka do dziennika mód. Przez Maryją z Ch. P. 2) Ona była niewinna. Przez Wład. Zawadzkiego. (Ciąg dalszy). 3) Kronika literacka. 4) Kronika muzyczna. 5) Teatr.

Témi dniami wyszły »*Rozprawy c. k. galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego*.« Tom pierwszy: 1) Ustawy c. k. galic. Towarzystwa gospodarskiego. 2) Protokół czynności 1go zgromadzenia we Lwowie, 3go lipca 1845. 3) Uwiadomienie w. Wydziału Stanów kr. Gal. i Lod. o najwyższém mianowaniu Protektora i potwierdzeniu wyboru Prezesa Towarzystwa. 4) Uwiadomienie tymczasowego komitetu o zawiązaniu się Towarzystwa. 6) Protokół czynności 2go zgromadzenia, 30go stycznia 1846. 6) Pytania zawierające plan krótki do jednostajnego opisu pojedyńczych gospodarstw lub znaczniejszych części kraju. 7) Protokół czynności 3go zgromadzenia, 30go czerwca 1846. 8) Zadanie do nagrody 400 zr. śr lub złotego medalu téjże wartości za napisanie najlepszéj rozprawy o chowie bydła rogatego w Galicyi. 9) Uwagi o uprawie turnepsu, przez Maks. Oborskiego. 10) Rada względem powtórnie pojawiającéj się choroby ziemniaków, przez Fr. Stiebera. 11) O zasadach chowu bydła w Anglii, przez Andrzeja hr. Zamojskiego. 12) Wymiar czasu i roboty dla robocizny ciągłéj i pieszéj w Czechach przez Kaźm. hr. Krasickiego. 13) Rozmaitości gospodarskie. 14) Odezwy Komitetu. 15) Wiadomości handlowe. 16) Wyszczególnienie darów. 17) Stan Towarzystwa po 3ciém ogólném zgromadzeniu.

M o w a k e l t y c k a. W Irlandyi żyją, jak dziennik »*Times*« donosi: 500.000 ludzi, którzy ani słowa po angielsku nie umią, i tylko po iryjsku mówią. Język iryjsko-keltycki jest jednem z pięciu głównych narzeczy żyjącéj dotąd mowy keltyckiéj, to jest narzeczy iryjskiego, szkockiego, monickiego, kyrmickiego i armorykańskiego w Niższej Bretanii, z których pierwsze trzy składają tak zwaną grupę galo-keltyckich, ostatnie zaś dwa bryto-keltyckich języków.

S t a r z e c 400l e t n i. W olbrzymiéj oranżeryi w Wersalu, jest drzewo pomarańczowe, zwane »Wielki Burbon«, mające 430 lat spełna Jest ono tak wielkie, iż gałęzie jego muszą być drucianémi linami podpinane. Mimo swego zgrzybiałego wieku, wygląda czerstwo i zdrowo, i rokrocznie bujno zakwita i obficie owoce rodzi. Zasadzono je w r. 1411 w Pampelonie, w Nawarze, a w 89 lat później zostało w darze do Francyi przesłane. Było to piérwsze poma-

rańczowe drzewo na ziemi francuzkiéj, a gdy je z Pirynejów do Chantilly wieziono, cisnęły się zewsząd tłumy ludu, aby je widzieć

Surogat miast kartofli. Ponieważ i w Ameryce podobnie jak w Europie zaraza na kartofle panuje, przeto starają się tam usilnie o wynalezienie dziko rosnących kartofli, aby z ich nasion, znowuż zdrowy uzyskać gatunek. Atoli dotychczas nie można było ich znaleźć. Natomiast niejaki pan Gesner znalazł na wyspach Prince-Edward pewny owoc ziemny, który może zastąpić kartofle, i od którego kartofle właściwie pochodzą. Przyrzeka on ogłosić dokładniejszą wiadomość w téj mierze.

Dla jenijuszów zapoznanych. Pewna przed niedawnym czasem zmarła we Francyi dama zostawiła testament, w którym 120.000 franków na roczne wspieranie zapoznanych, a godnych wsparcia talentów, jużto literatów, już wszelkich innych artystów, przeznacza. — Naroiż się teraz jenijuszów zapoznanych, jak komarów nad wodą w lecie!

Słońce centralne. Podług doniesień pism Dublińskich, oznajmił astronom Hamilton na ostatniém posiedzeniu król. akademii umiejętności irlandzkiéj, jako rzecz prawie pewną, iż mu się powiodło odkryć centralne słońce wszechświata. Byłoby to najważniejszém odkryciem bieżącego stólecia, lubo w ciągu jego już sześć nowych planet odkryto. — Wszelako inne pisma donoszą, jakoby pan Hamilton przyznawał to odkrycie dorpackiemu profesorowi Maedler, o którym w zeszłym roku mówiliśmy.

Godny obchód rocznicy. Dzień 18ty października święcono w Wrocławiu otworzeniem biblijoteki dla ludu, złożonéj z 1034 tomów, a przeznaczonéj bez wyjątku dla wszystkich. — Nie można zapewne godniéj i skuteczniéj obchodzić ważnych uroczystości dziejowych rocznic, jak kojarząc wspomnienia szlachetnych czynów przeszłości z znamienitémi przedsiębiorstwami na korzyść przyszłych pokoleń.

Okna papierowe. Jak wiadomo, ubiegli Holendrzy prawie wszystkie inne narody w doskonałości fabrykacyi papiéru. Wyroby ich fabryk odznaczają się niezrównaną białością, i są przytém nadzwyczajnie cienkie, gładkie i trwałe. Ztąd też rozchodzą się one we wszystkie części świata. Jeden z najpierwszych papierników królestwa, sporządza obecnie nowy rodzaj papiéru, będący równie przezroczystym jak szkło, a elastycznym jak pergamin. Z czasem może ten papier sklisty sprowadzić zupełną zmianę w zawodzie sztuki sklarskiéj, i zastąpić miejsce tak kruchego a przeto i kosztownego skła zwyczajnego. Również i do zwierciadeł da się ten nowy wyrób z korzyścią użyć.

Mamka króla Rzymskiego, która przed niedawnym czasem umarła, była córką gospodnika w Bellau, niedaleko Paryża. Zdrowa, czerstwa céra młodéj dziewczyny, zwróciła na się uwagę lekarzy, którzy otrzymali zlecenie wyszukać mamkę dla syna Napoleona. Wiktoryja odniosła zwycięztwo nad wszystkiémi spółzawodniczkami; oddano nowo-narodzonego króla Rzymu w jéj ręce, a tak, uboga wiejska dziewczyna ujrzała się nagle przeniesioną w pałace, lśniące od marmurów i złota, otoczoną przepychem i wytwornością. Dość było najlekszego skinienia, aby najdziwaczniejsze pochętki w oka mgnieniu zadowolnić, a znakomite osoby dobijały się o jéj względy. Sam Napoleon okazywał się dla niéj nadzwyczajnie łaskawym i hojnym. Po spełnionéj służbie otrzymała Wiktoryja znaczną pensyję, lecz wkrótce wszystko, co tak szybko i łatwo zyskała, z swoim późniejszym małżonkiem przemarnotrawiła, a straciwszy pod restauracyją pensyję cesarstwa, zostawała przez jakiś czas w gorzkiéj nędzy. Król Ludwik Filip kazał jéj co roku 2000 franków wypłacać

Senne marzenia obłąkanego. Pod tą nazwą wyszedł niedawno w Paryżu dziennik obłąkanego, który jest w istocie dziwném zjawiskiem w dziedzinie psychologii. Na jawie okazuje on w mowie i czynach zupełne pomieszanie zmysłów, skoro jednak sen powieki mu sklei, spada zasłona mrocząca jego ducha. Nad ranem staje on się lunatykiem, siada we śnie do stolika, i pięknym, dobornym stylem zjawiska swego sennego świata spisuje. W ten sposób powstał piérwszy tomik jego marzeń, a teraz przyjaciele ogłaszają pamiętniki jego, które zapewne w niemałym stopniu ciekawość publiczną zajmą. W tym razie sprawdza się w najwłaściwszém znaczeniu wyrażenie: »Życie we śnie.«

Kto chce żyć długo, niech się żeni. Tajny radzca Kaspar w Berlinie, wykazał z tablic statystycznych, że stare panny i starzy kawalerowie nie osięgają tak późnego wieku, jak żonaci, i że ludzie majętni w ogólności o 18 lat dłużéj żyją, niż ubodzy. A więc żeńmy się i bogaćmy czémprędzéj! — to lepszy środek, niż cały makrobijotyczny system Hufelanda.

Długi proces. W Irlandyi toczy się obecnie proces, który jeszcze w r. 1744, a zatém przed 103 laty się zaczął. Z dwóch osób, które go rozpoczęły, narodziło się w tym przeciągu 287 spółuczestników spornéj sprawy. Wszakże w tym roku ma ten proces być ukończonym. Co za szkoda!

Publiczność i aktorowie. Gdy ulubiony niegdyś artysta francuzki Deschames jednego razu bardzo cicho na scenie deklamował, ozwał się krzyk na parterze: »Mów pan głośniéj!« — na co tenże — »A panowie ciszéj!« — odpowiedział. Za to musiał przepraszać publiczność, i uczynił to témi słowy: »Nigdy jeszcze nie uczułem przykrzéj poniżenia mego stanu, jak w chwili obecnéj.« — Lekain uskarżał się raz w biufecie teatralnym na niedostatek pieniędzy, mówiąc, iż sobie w jednym roku ledwie 12.000 liwrów zarobił. Usłyszał to pewien kawaler orderu św. Ludwika, i wstawszy, rzekł po grubijańsku: »Czy słyszycie tego komedyjanta? Nie dość dla niego 12.000 f.r, podczas gdy ja sam nie mam rocznie więcéj jak 6.000!« — »A prawo odzywania się do mnie w ten sposób« — odrzekł artysta — »liczysz pan za nic?« — Honoré, będący oraz autorem i aktorem, występował pewnego wieczora w roli, którą zwykle niejaki Bernard Leon grywał. Nagle zaczęto ze wszech stron wołać: »Bernard Leon! Bernard Leon!« — »Moi panowie«, — odpowiedział Honoré — »mój kolega Bernard jest chory.« — »Nam nic do tego!« — ozwał się ktoś. »Chcemy koniecznie Bernarda, żywcem czy trupem!« — Na to Honoré wystąpił naprzód, i rzekł: »Mój panie, płacą mi za to, abym nie raz plótł głupstwa, lecz tak kolosalnéj niedorzeczności a nigdy jeszcze nie wygłosiłem.« — Widzowie roześmieli się, spojrzeli na artystę, lecz wnet pochwycono go za kark, i podając go sobie z rąk do rąk, wyrzucono go za drzwi.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.

(Dodatek nadzwyczajny.)